Rok III.

Nr. 9.

Nr. 9.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 1 marca 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

Koleje żelazne i giełdowe spekulacje.

Od kilkunastu lat zaszły znaczne zmiany w ekonomicznem położeniu naszéj prowincji. Cena gruntu podniosła się ogromnie i z nią razem ceny wszystkich potrzeb życia, chociaż niekoniecznie twierdzić możemy, że w tym samym stosunku mnożyło się narodowe bogactwo. Przeciwnie nawet twierdzimy, że ostatnie się zmniejszyło i podstawa jego, ziemia odziedziczona po przodkach, w znacznéj części wyśliznęła się z rąk naszych i przeszła w posiadanie przybyszów.

Dziś już zapewne nikt nie zaprzecza, że jedną z najgłówniejszych przyczyn tych zmian ekonomicznych są koleje żelazne, łączące nas z odległym wschodem i zachodem, z południem i północą i nie dziw, że ten przedmiot tak ważny w obecnym czasie, jest ciągłym tematem poważnych rozpraw tak w prasie, jako i w rozmaitych ciałach politycznych cywilizowanych ludów. Prasa i sejmy walczą przeciwko przestarzałym praktykom i zasadom rządów, chcących, jak się jeden z najkopetentniejszych sędziów w téj sprawie, Otto Michaelis wyraża, „ekonomiczny ruch regulować za pomocą dekretów“, bo nie przyznają, żeby te rządy były wszechwiedzące, mogące same wszystko trzymać w porządku.

Z drugiéj jednak strony objawiły się zdania, przemawiające za ograniczeniem prawa do budowania żelaznych kolei na korzyść niewielu ludzi prywatnych, utrzymując, że istnieje jakiś „naturalny monopol“ dla administracji żelaznych kolei. I przeciwko temu zdaniu powstaje Michaelis w swych niedawno na nowo ogłoszonych pracach *), w których występuje przeciwko wszechwładnym zachciankom rządu i przeciwko koalicji kapitału, chcącego posiąść prawa rządu ze szkodą ogółu. Warto, choć w szkicu poznać zasady Michaelisa.

Wyznawcy zasady „naturalnego monopolu“ twierdzili, że rząd ma prawo udzielania tego monopolu i że skutkiem tego ma także prawo wedle upodobania stanowić ograniczenia, o ile takowych wymaga interes publiczny. Bardzo wielu zadowolniło się tym frazesem, budując na nim całe systemata polityki żelaznych kolei. Lecz rozbierajmy z Michaelisem pojedyncze części składowe tego zdania.

Wiadomo, że państwo przywłaszczyło sobie prawo wywłaszczenia, nietylko w celach państwowych, gdzie tego wymaga bezpieczeństwo publiczne, lecz nawet w celach mniéj ważnych, do jakich zaliczyć trzeba budowę żelaznych kolei i prawo takowe dotąd udzieliło także towarzystwom akcyjnym razem z monopolem do administrowania kolei. A czyż rzeczywiście państwu służy jakiekolwiek naturalne prawo wywłaszczania prywatnych osób?

Pierwotnie gminy, a zatem stowarzyszenia prywatne, łączyły się dla zapobiegania powodziom, regulowania koryt rzek, eksploatowania jakiéjkolwiek kopalni, lub zaprowadzenia jakiego gospodarskiego ulepszenia i zabierały potrzebną do wykonania przedsięwzięcia ziemię. Lecz wtenczas ziemia była wspólną, nie zaś prywatną własnością i korporacja zwana gminą, ustąpiła część swojéj własności dla wspólnego bezpieczeństwa lub ogólnego dobra.

Pojmować można wywłaszczenie przez państwo w interesie ogólnego bezpieczeństwa, lecz nie na to, aby z odebranéj własności ciągnęło korzyści a mniéj jeszcze, aby ją podarowało spółce akcyjnéj, założonéj

*) „Gesammelte Schriften“ — Bd. 1o. Berlin, bei F. A. Herbig. 1873.

dla spekulacji. Przeciwko takiemu pojmowaniu praw państwa do prywatnéj własności powstaje Michaelis, dowodząc ponownie, że jest szczerym obrońcą społecznego prawa. W obronie tego prawa występuje on przeciwko wszelkim ograniczeniom, jakiemi pod pozorem dobra ogółu krępuje się rozwój żelaznych kolei i ruch na nich; przeciwko biurokratyzmowi, chcącemu i tu zaszczepić swą wszechwładzę, a za którą nawet izby handlowe przemawiają. Takie ścieśnienie i oddawanie żelaznych kolei w ręce rządu lub spółki opatrzonéj w monopol nietylko byłoby bezpłodném, ale nawet szkodliwém dla rozwoju handlu i przemysłu i wykluczyłoby wolną konkurencję. Takiego wykluczenia konkurencji chcą jednak zwolennicy „naturalnego monopolu", twierdząc, że od tego zależy rozwój żelaznych kolei.

W zwykłém pojmowaniu rzeczy „konkurencja" znaczy ubieganie się o odbyt pewnego produktu za każdą cenę, choćby nawet ze stratą. Lecz takie pojmowanie konkurencji jest fałszywém i przez zmowę konkurentów dałaby się łatwo wszelka konkurencja ze szkodą ogółu usunąć. Michaelis dowodzi, że znaczenie wolnéj konkurencji jest głębszém, że się ona nie obraca w tak ciasném kółku. Wedle niego cały ekonomiczny ruch porywający z sobą jednostki i niecierpiący odpoczynku lub zastoju, od niéj zależy. Ona jest duszą niezmiernego rozwoju, przynoszącego korzyść producentom nawet przy zniżonych cenach produktu, bo produkując masami taniéj i ułatwiając każdemu kupno, producenci sami bezpośrednio mają odział w dobrobycie konsumentów.

Rząd pruski dotąd starannie unikał koncesjonowania równoległych linji żelaznych kolei, sądząc, że takie równoległe linje robią sobie konkurencję, chociażby takowa wcale nie przyniosła szkody ogółowi. Jednakże wielka to pomyłka. Nietylko równoległe, lecz nawet przeciwległe koleje mogą sobie robić konkurencję, bo ta zależy od wielu okoliczności i warunków. Linja mająca w bliskości kopalnie kamiennego węgla, choć jest może dłuższą, taniéj może przewozić towary, niżeli krótsza linja, odległa od kopalń. W handlu z innemi częściami świata linja hamburgska szczęśliwie konkuruje z linją tryestską.

Mimo wszelkich korzyści, jakie dotąd koleje żelazne przynosiły, powiedzieć nie można, żeby ich urządzenia były doskonałe, że nie mają swych niedostatków, a nawet żeby w ich administracji nie zdarzały się nadużycia. Te niedostatki i nadużycia prywatnych kolei bardziéj wpadają w oczy, niżeli rządowych i to spowodowało wielu do rzucania się w drugą ostateczność, do przyjęcia zasady, aby państwo było jedynym właścicielem żelaznych kolei, jak jest jedynym właścicielem poczt i telegrafów.

Michaelis doskonale karci to żądanie, dowodząc, że jest pozbawione wszelkiéj podstawy, że jest lekkomyślném. Nie mówiąc już o strasznéj rewolucji, jakąby przejście starych kolei i budowla nowych wywołały w finansach państwa, wskazuje on liczną i tak już armję biurokratów, którąby o kilkadziesiąt tysięcy się powiększyła, coby szczególniéj dla naszéj prowincji nie było zbyt pocieszającém zdarzeniem. Dla ogółu jednak przejście żelaznych kolei w ręce rządu byłoby połączoném z wielką ekonomiczną stratą, gdyż takim sposobem zostałaby usuniętą wolna inicjatywa osób prywatnych, a korupcja, jaka dotąd się wkradła przy budowaniu i ubieganiu się o rządową koncesję i t. p. przybrałaby większe rozmiary, ponieważ to, co obecnie czynią jednostki, czyniłyby późniéj gminy i powiaty ubiegające się o żelazne koleje.

Michaelis rzucił myśl nader płodną w następstwa, jeżeli zostanie przeprowadzoną, a w każdym razie myśl sprawiedliwą i zgodną z ideą własności. On nie chce, aby państwo przyjęło na siebie jakiekolwiek gwarancje za oprocentowanie się kolei, nie chce wiedzieć o żadnéj subwencji ze strony rządu, lecz żąda po prostu, aby właściciele gruntów się łączyli, przynosili ofiary, jeżeli chcą, aby kolej przez ich grunta była prowadzoną, bo oni bezpośrednio zysk z niéj ciągną, kiedy gospodarstwa odleglejszych okolic w miarę oddalenia, mniejszą téż korzyść mają. Takie ofiary ze strony adjacentów byłyby najlepszém świadectwem o wartości linji, gdyż każdy gospodarz najlepiéj znać może potrzeby swojéj okolicy. Wiadomą jest rzeczą, że wartość ziemska w pobliżu kolei podwoiła się a nawet potroiła, kiedy ceny ziemi w niejakiéj od linji odległości częstokroć bardzo nieznacznie tylko się podniosły. Kiedy zaś państwo przyjmuje gwarancje dla jakiéjkolwiek linji, lub daje subwencję do jéj budowania, nie robi ono różnicy między właścicielami bliższymi i dalszymi i skutkiem tego opodatkowuje tego, co ma małą tylko korzyść, lub téż żadnéj nie ma, na rzecz mającego znaczne korzyści.

Zasada Michaelisa poniekąd już została zastósowaną u nas przy budowie powiatowych dróg żwirowych; każdy powiat chcący mieć takowe, musiał się postarać o potrzebny kapitał, bo on miał bezpośrednio korzyść z tych ulepszonych środków komunikacji. Zastósowanie jéj w najszerszych rozmiarach do budowy żelaznych kolei szczególniéj u nas, prędkoby wydawało najlepsze owoce, bo i nasze upośledzone dotąd wschodnie powiaty prędko wzięłyby udział w przemysłowym ruchu europejskiego kontynentu. W takim razie wywłaszczenie jednostki na korzyść gminy i powiatu stałoby się znowu tém, czém było pierwotnie, środkiem przedsięwziętym dla polepszenia bytu gminy, społeczności, do któréj indywiduum należy.

Być może, że debaty toczące się w téj chwili w sejmie berlińskim, które już wykryły niejedno nadużycie, doprowadzą do tego, że wreszcie ustanie monopol udzielany dotąd ze szkodą ogółu kilkudziesięciu bogatym, oraz prawo państwa do wywłaszczenia indywiduów na korzyść innych indywiduów i wreszcie do prowadzenia kolei podług planów strategicznych nie mających częstokroć nic wspólnego ze strategicznemi linjami handlu i przemysłu, na rozwoju których nam i całéj ludzkości więcéj zależeć musi, niżeli na ułatwieniu ruchów wojennych niszczących Europę armji.

Czas, aby ustał koncesjonowany komunizm, aby społeczeństwo przynajmniéj na drodze rozwoju swéj pomyślności, swego materjalnego bytu, nie miało do walczenia z przestarzałemi prawami, które, jak przekonaliśmy się dzięki oskarżeniu Laskera, nie uchroniły od korupcji. Bardzo łatwo jest krzyczeć na zepsucie tego świata, na gonitwę za groszem, kiedy się używa wszelkiéj rozkoszy do przesytu, zbierając skarby na podstawie uzurpowanych praw i wyłudzonych przywilejów. Uczciwość obywatelska może tylko spoczywać na obywatelskiém prawie, a komunizm nietylko istnieje w niższych warstwach ludu, bo go świeżo widzieliśmy w najwyższych sferach społeczeństwa — u steru biurokracji.

Bądźmy szczerymi i otwartymi. Gonienie za wielkiemi skarbami, za bogactwami i rozkoszą przy unikaniu pracy w najnowszych czasach raczéj w najwyższych sferach społeczeństwa się zagnieździło, nie zaś w sferach niższych, ludowych, którego febris aurea jeszcze nie dosięgła. Od 25 lat, t. j. od czasów odkrycia bogactw Kalifornii, gdzie w samych początkach bez wszelkiéj pracy, schyliwszy się tylko, było można zbogacić się, manja ta coraz bardziéj się rozprzestrzeniła, w coraz dalsze strony zatoczyła swe koła, aż wreszcie — i nas dosięgła. „Zbawca społeczeństwa", który wolność we własnéj ojczyznie zadławił, sztucznemi środkami popierał tę dążność do wzbogacenia się bez pracy, aby tym sposobem zdemoralizować lud i robić go niezdolnym do politycznych swobód.

Wtenczas to ekonomiści, widząc ogromne masy złota, jakie z Kalifornji przywieziono do Europy, twierdzili, że skutkiem tego srebro pójdzie w górę, i że ztąd grozi wielkie niebezpieczeństwo handlowi całego świata. Wypadki zadały kłam ich proroctwu; historycy, a z nimi Michaelis, pokazali, że nie ma proroków, zwłaszcza na polu ekonomji.

Przypływ złota i tendencje uzurpatora wywołały olbrzymie spekulacje, połączone znów z olbrzymiemi oszukaństwami. Powstał bank ruchomego kredytu (Crédit mobilier), powstały banki prywatne, jak Mirésa, obiecujące każdemu bogactwo bez pracy, i masy łatwowiernych rzuciły swoje mienie w paszczę Molocha Kto pamięta owe czasy i obecne z niemi porównywa, wielkie widzi w tych dwóch nieodległych od siebie epokach podobieństwo. Ta sama przesada, toż samo gonienie za niepewném, to samo chwytanie się nowych spekulacji i zdaje się, toż samo przespekulowanie się, które w dawniejszym perjodzie zakończyło przesilenie 1857 r., nie wstrzymane nawet tém, że wszystkie spekulacje były oparte na koncesjonowanych przez rządy bankach. Nie dziw, że ludy wychowane dotąd pod opieką ojcowskich rządów, w ich koncesjach widziały gwarancję przeciwko oszustom, czychającym na sposobność wzbogacania się bez pracy. Przeciwko tęmu jest, jak Michaelis dowodzi, jeden tylko środek: wolność zakładania banków. Prawda. że nagłe i nieprzygotowane niczém uwolnienie istniejących już banków z pod kontroli państwa, że pozwolenie zakładania banków udzielane pierwszemu lepszemu, co tego żąda, z początku byłoby bardzo niebezpieczném dla wielu eksperymentem, bo nam brak bankowych doświadczeń, które tylko tam rodzić się mogą, gdzie wolność zakładania banków, jak w Stanach północnéj Ameryki lub w Anglji, od dawna istnieje. Tam też nie uważają wypuszczania papierowych pieniędzy (green backs, jak je w Ameryce przezwali), ani kredytu ruchomego za główne operacje bankowe, za punkt ciężkości finansowych obrotów.

Skutki spekulacji giełdowych wcale nie są pocieszającemi, szczególniéj zaś dla nas są one zgubnemi. Giełda — to gra hazardowa; ona, jeśli nie jest nieprzyjaciółką produkcji, to przynajmniéj w niczém jéj nie wspiera i dla tego to u nas tak trudno o produkcyjny kapitał, nie obiecujący ogromnych zysków bez pracy. Giełda stała się domem gry w pewne papiery, których fluktuacja nie daje się podciągnąć pod pewne ekonomiczne prawa, lecz od przypadków zależy.

Lecz i przyrost szlachetnych metali nie wpływa na rozwój prawdziwéj produkcji; złoto pod tym względem nie więcéj znaczy jak papier, po którego sile od czasów John Lawa do Proudhon'a wielu marzycieli cudów się spodziewało. Tylko praca może rzeczywiście zbogacić narody, bo praca tworzy nowe wartości, kiedy wszystkie spekulacje tylko ceny zmieniają. Nawet powiększony popyt na towary, jak to także wspomnione przesilenie dowiodło, nie jest zdolnym przyczynić się do powiększenia produkcji; potrzeba do tego koniecznie kapitału i tylko kapitału. Spekulacja wprawdzie przez niejaki czas, jak to już bywało, kredytem pracować może; lecz i dla niéj przychodzi czas likwidacji, feralny dzień zwany w technice giełdowéj „ultimo", wtenczas wszystko upada, co nie stoi na własnych nogach, o własnych siłach.

Dla nas szczególniéj, dla nieprzemysłowych rolników Poznańskiego, wielki czas zwrócić uwagę na produktywną pracę, już to dla tego, że zajmujemy bardzo odrębne stanowisko pod pruskim rządem, stanowisko pasierba do ojczyma, już téż dla tego, że przeważnie uprawiając zboże, mamy do walczenia z konkurencją narodów produkujących nierównie taniéj ziarno niż my, a nie mamy dotąd dosyć komunikacji, dosyć dróg żelaznych, aby produkując inne płody poszukiwane na zachodzie, takowe w danym korzystnym momencie przerzucić tam, gdzie najlepiéj popłacają. Na założenie żelaznych kolei, na poprawę naszych gospodarstw, na zaprowadzenie własnego przemysłu — czyżby nasze Poznańskie nie miało posiadać kapitałów, kiedy ich się nie mało pokazuje gdy chodzi o spekulację giełdową?

TRZY MIESIĄCE.

Ze znalezionego rękopismu

wydał

Józef Narzymski.

(Ciąg dalszy.)

Nareszcie słońce zaczęło zachodzić... Stałem na balkonie ich mieszkania ze smutkiem, z żalem, patrząc na tę tarczę promienną, otoczoną purpurowemi, złotemi i białemi obłokami.

— Jakże to piękne!... szepnąłem, a w duchu dodałem: To raz ostatni!...

Zmrok zapadł — powietrze było parne, duszące, ponure. Pani Struś z sąsiadką swoją zasiadły na krzesłach przed willą... Marja zaczęła chodzić zwolna najprzód około nich, potém oddalała się coraz więcéj. Na środku ogrodu był bassen wśród trawnika a we środku fontanna: zatrzymała się i zapatrzyła w wodę. Nie mogłem wytrzymać i zbliżyłem się zwolna do niéj... Byliśmy widoczni dla dam starszych, ale rozmowy naszéj słyszeć nie mogły. Kiedym się zbliżył i stanął przy niéj odwróciła się i rzekła:

— Mów pan — chcę wiedzieć.

Twarz jéj była zwrócona ku zachodowi i oświecona bladém światłem owych odblasków, które słońce czas jakiś zostawia po sobie... W oświeceniu tém wydawała się wyższa. Z założonemi na piersi rękami, patrząca na mnie i prawie rozkazująca, wyglądała w téj chwili jak posąg marmurowy, jak królowa, jak jakaś wyszła z głębi wód...

Zachwycony, odurzony, nie śmiejąc ust otworzyć, stałem przed nią... i admirowałem w milczeniu.

— Dość téj męczarni — mówiła daléj gwałtownie choć stłumionym głosem — kochasz mnie!... kochasz tak jak marzyłam... a ja... ja... wiesz... powiedziałam tam... ja nie umiem dręczyć tych, których kocham... Czyż to nie starczy do szczęścia?...

— Marjo!... Marjo!... szeptałem upojony, bo te jéj słowa przejmowały mnie razem szczęściem i pragnieniem życia...

— Więc zkąd ta boleść twoja... to szamotanie straszne... ten ból wyryty w zmarszczkach czoła... śmiertelny w oczach?... Ja chcę wiedzieć... ja mam prawo wiedzieć gdzie jest rana... bo ona do mnie należy... bo mnie ją tylko leczyć wolno...

Wziąłem jéj obie ręce i do ust przyciskałem, ale milczałem...

— Słuchaj — mówiła ciszéj i głosem już miękkim — ja cię musiałam pokochać, boś był nieszczęśliwy... bo czułam, żem ci potrzebna... ja nie wymagam żebyś dla mnie o tém zapomniał... ale chcę podzielić twój smutek... wszystko... Jeżeliś zrujnowany... jam bogata... albo jeżeli zechcesz, mogę być ubogą... jeżeli ci co grozi... rozumiesz... ja chcę umrzeć razem z tobą... jeżeliś...

— Marjo!... Marjo moja!... wołałem szalony.

— Ale na Boga!... powiedz... powiedz... cierpisz... a ja nie wiem...

— Jutro się dowiesz — rzekłem — widząc, że sił mi braknie.

— Jutro się dowiem?... co to znaczy? I mała jéj dłoń schwyciła moją i ścisnęła jak kleszczami...

Może prawda błysnęła przed jéj oczyma...

— Jutro ci powiem wszystko...

— Powiesz... ah!... czemuż nie dziś?

— Sił nabrać muszę... Ale Marjo — dodałem prawie uroczyście — przyrzecz mi dziś jeszcze, że czegokolwiek się dowiesz, przebaczysz mi... Przestań mnie kochać.. tak! chcę tego.. pragnę... ale choć troszeczkę pamiętaj o mnie...

— Co to znaczy... co ty mówisz?... jakim tonem!...

— Starsze panie idą — szepnąłem.. i ciszéj dodałem: Przebaczysz?... nie zapomnisz?..

Uścisk ręki, długi, serdeczny, konwulsyjny był jedyną odpowiedzią...

Czułem że sił mi brak... Boże mój! czyż dla tego mi taką chwilę zesłałeś, żeby samobójstwo ukarać?... W głowie mi się mąciło... Mieć taki raj, takie szczęście i ginąć... z własnéj ręki ginąć... Byłbym i Wirską i Wirskiego poszarpał w téj chwili na szmaty!...

Przy pierwszéj sposobności siadłem na ławeczce... kobiéty oddalały się... Gdym ją ujrzał niknącą w cieniu rozpacz mnie ogarnęła.

— Raczéj spodlić się, jak ją stracić!...

Zadrżałem na myśl tę... zdawało mi się, że na twarzy czuję policzki, że Wirski szyderczo mi się kłania, że ludzie mnie palcami wytykają i wołając: podły... plują... że ojciec surowo patrzy się na mnie i mówi smutnie:

— Honor — Karolu!... honor przedewszystkiém!...

I Marji dać nazwisko człowieka, którego Wirski miałby prawo kazać lokajowi kijem obić... Nie, precz myśli takie!... Jutro... za parę godzin może, dowiesz się o najdroższa, czemu twój Karol tak cierpiał!... Bo tyś go kochała, a on zamiast w twoje objęcia... powiedz najmilsza!... możeż być piekło straszliwsze!... Wszak mu przebaczysz i nie zapomnisz!...

Ah! trzy kwadranse dochodzi!... czas już!...

(Tu w rękopiśmie rozpoczyna się pismo ołówkiem, szybkie i urywane — niektóre miejsca tak krwią zalane, że ich odczytać niepodobna. Oto, co się odcyfrować dało. Przyp. Wydawcy).

Sądziłem, że to daléj... W pięć minut już byłem na miejscu... Mam jedenaście minut jeszcze... Chcę, żeby ukochani moi byli ze mną aż do chwili ostatniéj... Dziwnie ta altanka wygląda przy świetle mojéj latarki... jak grób... Ha, to dobrze... Świeczko!... wiesz ty, że życie twe dłuższe od mego... ale zgaśniesz... zgaśniesz jak wszystko... Ja cię jednak nie zdmuchnę... nie... żyj sobie...

Tu w serce!... tak... głowy nie myślę trzaskać... Widziałem trupa ze strzaskaną głową, straszny, obrzydliwy!... Ona może mnie zechce obejrzeć po śmierci... i ona i matka... pocóż wstrętem pamięć moją zapra...

W jéj oknie się świeci... ona tam klęczy!... Marjo uważaj!... Za chwilę duch mój przepłynie zwolna koło ciebie i na twém czole...

Ah! co za noc!... I matka moja się modli!... Zdaje mi się, że słyszę jéj modlitwę za syna... O dobrze!... dobrze!... najdroższe moje... módlcie się... on taki nieszczęśliwy!... taki grzeszny!... Bóg mu dał wszystko — i was... a niczego użyć nie umiał...

Ale nie lękajcie się... Wyście go nauczyły wierzyć... Jestem w téj chwili pewny, że to nie koniec wszystkiego... że gdzieś... kiedyś... znajdziemy się ze sobą... że i teraz... tego co nas wiąże, kula nie przetnie... Alboż ja was nerwami tylko kocham...

....

Śmierć z daleka tylko straszna... Oto stoi tu i pokazuje kościstym palcem, że tylko brak dwóch minut... a przecież nie drżę. Jeżeli piszę niewyraźnie, to dla tego tylko, że się spieszę. Tyle mam do powiedzenia!... Ale wierzcie mi, jestem spokojny... nawet do Wirskiego nie mam żalu... Nie dziwię mu się... Gdybym ja kogo!... Co za myśl!...

....

Minuta!... Jakie cudne powietrze... jaka cisza uroczysta!... ah! ostatni oddech całą piersią!... co to za rozkosz oddychać!...

A tam światełko w jéj oknie błyszczy, a tam matka się modli, a Iza słodko marzy... Ah! pierwsze uderzenie!... nie, to kwadranse!... Marjo!... matko!... siostrzyczko moja!... wszyscy!... wszyscy!...

Raz!... jak szybko bije!...

I ty Boże przebacz mi!...

Trzy!...

Kocham i umieram... Wszak to dosyć kary za samobójstwo... Ale honor!... Marjo... Dziewięć... Czas!... Pamiętaj... Żegnam...

Epilog Wydawcy.

Na tych wyrazach kończył się rękopism. Reszta kartek, zresztą pustych, przesiąkła była i zlepiona krwią spiekłą i czarną, co dowodziło, że katastrofa spełnioną została.

Nie wiem czy w tém się zgodzimy ze sobą, Szanowni państwo moi, ale czytanie tych urywków zajęło mnie i zrobiło na mnie wrażenie. Spowiadający się wprawdzie nie był żadną wyjątkową istotą. Był to młody człowiek jak inni, o gorętszych tylko uczuciach, żywszéj wrażliwości i lotniejszéj wyobraźni...

W jego zwierzeniach wiele może było tego, co się w przyzwoitém towarzystwie nazywa egzaltacją... Dziś ani tak się nie unoszą nad kawałkiem lasu, ani tak nie egzaltują nad panną. Tłomaczy go stan jego nader smutny i rozstrój nerwów, bo to był zresztą człowiek dobrze urodzony.

Ten jednak obraz młodości pełnéj życia i pragnień w zapasach z fatalną koniecznością śmierci, ta spowiedź szczera człowieka znajdującego się w dziwném rzeczywiście położeniu, te porywy, upadki, przemiany i rewolucje, jakie zachodziły w obec wieczystéj zagadki w duszy podobnéj do tysięcy dusz dzisiejszego pokolenia, interesował mnie, zajmował i zaciekawiał.

Przyznam się państwu, żem nawet pokochał bohatera... Excusez du peu, lwy i lwiątka salonowe, ale jest różnica między pojedynkiem na liche i licho nabite pistolety, a takim spacerem do grobu z całą wiedzą konieczności i chwili, trwającym trzy miesiące...

Smutny więc byłem, zwłaszcza, że w tymże samym zapewne pokoju Karol żegnał życie, że tu ostatnie kartki pisał, że tu, na tém łożu skrwawiony trup jego leżał. Chciałem się chwilami gniewać na niego, że takie piękne zmarnował życie, że tyle serc zakrwawił, i to dla głupstwa... Ale przebaczyłem mu to. Miło jest, że dziś, gdy wszelkie słowa malujące niematerjalne rzeczy, tracą znaczenie i wagę, ktoś umiał poświęcić,

w ten męczeński sposób, życie dla idei, choćby tak sztucznéj jak honor!

Widziałem go prawie jak brał rękopism, rewolwer opatrywał, zapalał latarkę i wychodził, by wrócić trupem... Wyobrażałem sobie twarz jak kreda bladą i usta zacięte i krok stanowczy...

Chcąc te mary arcy-niezdrowe przy kąpielach rozpędzić, zapaliłem świecę... i machinalnie zacząłem raz jeszcze odczytywać ostatnie ustępy rękopismu. Skończywszy, spojrzałem na następną, już zakrwawioną kartę, i dopiéro teraz, przy świecy, dostrzegłem, że na rogu który pozostał czystym, jest coś ołówkiem napisanego. Z biedą odczytałem te słowa, posuwistym, kobiécym charakterem napisane i zatarte:

„Mówiłam przecie, że się to wszystko ślubem skończy.“

— Co to być może? myślałem. Czy żart nieprzyzwoity?.. Ale któżby śmiał?... Zdaje mi się, że mi ten frazes nie obcy?... Ah! prawda, to słowa Izy... czytałem je gdzieś w manuskrypcie.

Dopisek ten zaintrygował mnie bardzo. Czyżby rzeczywiście ta cała historja mniéj się tragicznie skończyła?... Czyżby w ostatniéj chwili zabrakło odwagi?... Ależ ta krew?...

Późno w noc myślałem o całéj téj sprawie, i wiele mi moralnych myśli przychodziło do głowy, n. p. o złych skutkach bałamucenia mężatek... mających takich mężów jak Wirski, o nieszczęśliwym wynalazku balkonów, które już niejednego nieszczęścia stały się powodem, o tém co to jest ów honor, o... ale mniejsza o to...

Ale rano, wyszedłszy na wody, wytrzymać nie mogłem i schwytawszy mego doktora, którego znałem jeszcze w Wiedniu, zacząłem go wypytywać o tę sprawę.

— Ah! nie słyszałeś pan o tém?... zapytał.

— Nic a nic... Znałeś pan tego...

— Comment donc!... zawołał, bo mówiąc doskonale po francuzku, co wyjątkiem jest u lekarzy niemieckich, pasjami lubił się tym językiem popisywać. — Comment donc!... Mon cher Charles?... Si je le connais!... Oh! Polonais, Polonais! — wołał śmiejąc się — vous êtes tous les mêmes!... Il faut vous aimer malgré soi... Ce Charles par exemple! Ah! C'était un fou... bête, peut-être!... mais brave!... brave!... parole d'honneur...

— Niechże mi konsyljarz to opowie... Więc nie zabił się?...

— Ba!... ba!... także!... zabił się, ale żyje...

— Cóż to?... cud czy żart?...

— Nie... ale jeżeli chcesz, nauka cuda robi... przy pomocy natury, młodości... i de l'amour aussi...

— Wierzę... wierzę... ale zlituj się konsyljarzu, powiedz mi co wiesz o tym samobójcy...

— Najprzód — zaprotestował doktor — to nie samobójca, bo nie sam się zabił, tylko zabiło go poczucie honoru... to różnica...

— Prawda...

— Otóż on tam gdzieś uwiódł jakąś księżnę...

— Ah! księżnę!...

— No... i przyjął amerykański pojedynek... a to znaczy...

— Znam to konsyljarzu... znam...

— Znasz pan amerykański pojedynek? — rzekł doktor jakby z obawą spoglądając na mnie — nie zazdroszczę... to...

— Ze słyszenia tylko... ze słyszenia. Więc gdy przyszedł termin...

— Otóż gdy przyszedł termin, figurez-vous, mon cher, ten człowiek zasiadł z latarką w téj oto altance... Widzisz ją pan — dodał wskazując kijem przeciwległą nam górę obrosłą lasem... ot tam...

— Widzę... to tam właśnie...

— Tak... Poszedł tam z latarką...

— Wiem... wiem...

— Ah! mon cher — pan wiesz tyle co ja — rzekł jakby obrażony doktor.

— Ależ nie!... znam tylko tę historję do chwili stanowczéj...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Gallus i Kadłubek
o
Świętym Stanisławie.
Studjum historyczno-krytyczne
przez
Aleksandra Skorskiego.

„In scientiis tamquam in metalli fodinis omnia novis operibus et ulterioribus progressibus circumstrepere debent.“ Fr. Bacon (Nov. Org. I, 90).

Żadna może kwestja dziejowa nie zajmowała w najnowszych czasach tak żywo naszych historyków, jak kwestja stosunku św. Stanisława do Bolesława Śmiałego — ale i bezwątpienia żadna tak błędnie traktowaną nie była. Najdawniejszy nasz kronikarz Gallus, w odkrytym przez Tadeusza Czackiego autentycznym rękopisie swéj kroniki zwie „zdrajcą“ biskupa, który w r. 1079[1]) z rąk Bolesława II mordercą śmierć poniósł; o sto lat późniejsze kroniki jeszcze przed kanonizacją mienią go „świętym.“ Jedni tedy historycy odrzucają wprost lakoniczne twierdzenie Galla, powołując późniejszych wywodnych pisarzy na świadectwo nieskalanego charakteru biskupa; drudzy, zkądinąd nieuprzedzeni, uważając słusznie współczesnego prawie Galla za jedynie w tym względzie wiarogodnego świadka, usiłują znów krótką jego o zabójstwie Stanisława wzmiankę interpretować późniéj powstałemi źródłami; inni przyjmują wprawdzie wiadomość podaną przez Galla, lecz twierdzą, że późniejsze kroniki dopiéro po kanonizacji na korzyść biskupa zfałszowane zostały — wszyscy zaś grzeszą tém, iż umiejętnie wcale nie dowodzą wiarogodności lub niewiarogodności sprzecznych tych z Gallem źródeł, gdy tymczasem tylko w ten sposób kwestja rozstrzygniętą być może. Chodzi bowiem wyłącznie tylko o to, czy wychodząc ze stanowiska wolnego, nieuprzedzonego badania, można tak znacznie późniejszym i tak wielce odmiennym od Galla źródłom prawdziwie źródłową przyznawać wartość — czy też nie. Wszelkie teorje bez odpowiedzi na to pytanie muszą być bezpodstawne. Kanonizacja zaś Stanisława, jako taka, dla krytycznego badacza jest bez znaczenia. Ani powagą, ani uczuciami, na których głównie wszystkie spoczywają wyznania — on powodować się nie może. Celem jego badań jest prawda historyczna. Nad jéj wykryciem pracuje on bez względu na to, czy rezultaty, do jakich sumienne i bezstronne doprowadzi go badanie, nie staną w sprzeczności z wyznawanemi

[1]) Annales Cap. Cracov., Pertz, Mon. Germaniae, XIX, pag. 582.

dotąd zdaniami w kwestjach, o których ściśle naukowe kusił się rozwiązanie.

Marcin Gallus piszący między rokiem 1109 a 1110[1]), ze stanowiska dzisiejszéj krytyki wysoce ceniony, opisawszy wyprawy wojenne Bolesława II powiada potém, że długo trzebaby opowiadać, w jaki sposób król ten z Polski wyrzucony został; stanowczo zaś tylko orzeka, iż Bolesław tém sobie wiele zaszkodził, że biskupa za zdradę śmiercią ukarał[2]).

Całém stuleciem od Galla oddalony Wincenty Kadłubek[3]), który pierwszy po nim wziął się do pisania dziejów polskich, opisuje natomiast, w drugiéj księdze swéj kroniki, bardzo wywodnie wypadki, wśród których męczeńska śmierć Stanisława i wygnanie króla nastąpić miały, pomimo to, że zagadkowego w téj mierze Galla do całéj téj księgi za wyłączne źródło używał[4]). Idąc też i co do panowania Bolesława Śmiałego w istocie rzeczy wiernie za Gallem[5]), właśnie gdy przyszło mu mówić o Stanisławie, zupełnie odstępuje od swego pierwotnego źródła. Podaje mianowicie (II, 18), że podczas niebytności króla w ojczyznie, stęsknione żony długą mężów nieobecnością, łamiąc śluby małżeńskie same niewolnikom w objęcia się rzucają lub zostają przez nich pogwałcone; że zuchwali niewolnicy powracających panów zbrojnie odpierają, zgnieceni zaś wreszcie przemocą, ciężkie ponoszą od nich kary, podobnie jak i bezecne niewiasty, które swym zmysłom powolne się stały... Król powróciwszy na miejsce nieładu (II, 20), wielkim zdjęty gniewem, srogą wywiera zemstę na panach, którzy go wśród nieprzyjaciół zdradziecko opuścili, a i ich żonom, które właściwie wszystkiego były powodem, również najokropniejsze wymierza kary. Bogobojny biskup krakowski Stanisław usiłuje odwieść króla od takich okrucieństw — gdy jednak usiłowania jego skutku nie odnoszą, rzuca nań klątwę. Stanowczym tym krokiem biskupa do żywego tknięty Bolesław, własnoręcznie śmierć mu zadaje. Nadzwyczajne wszakże nad grobem Stanisława zjawiska, wzrastająca cześć dla męczennika a powszechna ku zabójcy nienawiść, zniewalają Bolesława do pospiesznego oddalenia się z kraju...

Całe to opowiadanie, przystrojone jeszcze szczegółowém opisaniem rozmaitych cudów wypisuje z Wincentego prawie dosłownie następujący po nim kronikarz Bogufał[1]), dopełniając go jednak gdzieniegdzie[2]). Napisany zaś niebawem po Stanisława kanonizacji[3]) jego żywot[4]) w miejscach, gdzie mówi o konflikcie biskupa z królem, jest tylko prostą kompilacją Kadłubka[5]) i Bogufała[6]), ze zbyt rażącemi ilustracjami. Z téj też przyczyny do powyższéj historji Stanisława jest tylko Wincenty Kadłubek pierwotném źródłem, gdyż najdawniejsze roczniki krakowskiéj kapituły w odnośnych latach skażone są znacznie późniejszemi wtrętami[7]). Chcąc tedy fakta, podane najpierw przez Wincentego uznać za historyczne, jego wyłącznie pytać się należy, zkąd zaczerpnął wiadomość o nich i dopiéro po odpowiedzi na to pytanie stanowczo zawyrokować o wiarogodności jego i wszystkich zgodnych z nim pisarzy.

Wyśledzić źródła, jakiemi Wincenty w pierwszych swych księgach rozporządzał, jest to bezspornie najtrudniejsze zadanie dla krytyka jego dzieła. Nietylko bowiem, że nie podaje nigdzie zkąd czerpie, lecz obznajomiony z najrozmaitszymi pisarzami łacińskimi, pojedyncze wyrażenia, zwroty lub nawet całe z pism ich ustępy do swego dzieła wcielа, tak, że znane nam zkądinąd historyczne wypadki, u niego zupełnie inaczéj nam się przedstawiają. Dokładne przeto wybadanie tych miejsc w kronice jego, które na pozór dla zewnętrznéj tylko okrasy z innych pisarzy są wzięte, w rzeczy zaś saméj opisywane przez niego zdarzenia w inném okazują świetle, niezmiernéj jest dla historyka wagi. Nie mało więc zasłużył się dla naszéj historjografji także i w tym względzie Lelewel, a więcéj jeszcze znakomity filolog niemiecki Gutschmid, którzy osobne poświęcili prace na wyśledzenie pomocniczych dzieł Wincentego. Wszakże gdy Lelewel[8]) kładł wszystko na karb wiel-

[1]) Bielowski A. Wstęp krytyczny do dziejów Polski. Lwów. 1850, str. 48, 49.

[2]) „Qualiter autem rex Boleslaus de Polonia sit eiectus, longum existit enarrare, sed hoc dicere licet, quod non debuit christianus in christianum*) peccatum quodlibet corporaliter vindicare. Illud enim multum sibi nocuit, cum peccato peccatum adhibuit, cum pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit. Neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus, sed hoc in medio deferamus, et ut in Ungaria receptus fuerit disseramus." I. 27. Bielowski Monumenta Poloniae historica. Lwów, 1864. T. I. str. 422.

[3]) Biskup krakowski (od r. 1208—1218) umarł za zgodą najdawniejszych roczników r. 1223 a kanonizowany roku 1764. Czas, w którym pisał swą kronikę dokładnie oznaczyć się nie da. Inną datę przyjmuje Zeissberg, inną ustala Bielowski.

[4]) Zeissberg, Dr. H. Vincentius Kadłubek und seine Chronik Polens. Wien, 1869, str. 175 i nast.

[5]) Lelewel J. „Bolesława Szczodrego czyli Śmiałego upadek." Polska wieków średnich. Poznań, 1847. T. II, str. 220 do 226.

*) Bielowski czyta wprawdzie „christianos", wszakże logiczny związek zdań wymaga koniecznie „christianum" — dla tego idziemy w tym względzie za Bandtkiem i Lelewelem.

[1]) Umarł w r. 1250; ob. Lelewela „Pisarze dziejów w Polsce przed Długoszem." Polska wiek. śred. Poznań 1847. T. I. str. 69.

[2]) Ob. niżéj.

[3]) Stanisława wliczono w poczet „świętych" w r. 1253, ob. Acta Sanctorum, II. Mai. Bulla kanonizacyjna, umieszczona także w Rocznikach Theinera, zawiera również ustępy dosłownie z Kadłubka brane.

[4]) „Vita S. Stanislai", na końcu I. W. Bandtkiego edycji Galla. Warszawa 1824.

[5]) Że textu Wincentego nie podrobiono dopiéro po kanonizacji Stanisława wtrętami z powyższego żywota tego świętego, lecz że przeciwnie żywociarz używał Kadłubka za źródło, wykazał to dowodnie już Lelewel przez porównawcze zestawienie textów obydwóch tych kronik w rozprawie p. t. „Bolesława Szczodrego upadek" (w p. p. d. str. 245—262), a tylko nieznając téj pracy mógł Bielowski za przykładem Ossolińskiego (Wiadomości hist., kryt. II, 436) jeszcze w r. 1863 poczytywać za argument przeciwko autentyczności rzeczonego wstępu w Kadłubku tę okoliczność, że Samicki, pisarz z XVI wieku w swych „Rocznikach" dziwi się, dla czego Wincenty nie wspomniał nic o zabójstwie Stanisława (Annales VI, 9). [ob. Bielowskiego rozprawę p. n. „Mistrz Wincenty i jego kronika Polska." Bibljoteka Ossolińskich. Poczet nowy. Lwów. 1863. T. II, str. 386—389. Lelewel bowiem dowiódł z saméj kroniki Wincentego, że rozdziały o Stanisławie zostają z całością w najściślejszym związku i noszą wszelkie znamiona stylu Kadłubkowego na sobie, że więc Samicki skażony właśnie w tém miejscu exemplarz musiał posiadać. — Niezależnie od Lelewela wykazał to samo Zeissberg, zbijając nowy zarzut uczyniony przez Bielowskiego (ob. Vincentius Kadłubek, str. 179—184.

[6]) Ob. niżéj.

[7]) Ob. Bielowskiego rozbiór „Roczników Polskich" wydanych przez Pertza w Bibl. Ossolińskich, poczet nowy. Lwów 1868. T. X, str. 316 i nast. — Zeissberg domyśla się, że autorem niezwykle długiego wpisu w rocznikach krak. pod r. 1079 był sam Kadłubek (?) (w p. p. d. str. 176—179).

[8]) „Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa", 2 wyd. Polska wiek. średn. I, 141 i nast. — Nowsi badacze jak Przeździecki,

kiéj Wincentego erudycji, nie posądzając go nigdy o zły zamiar, Gutschmid[9]) prowadząc badania Lelewela daléj, naruszył dotychczasową sławę Kadłubka, odmawiając mu wręcz téj największéj zalety historyka — miłości prawdy. Doszedłszy bowiem do tych wyników, że kronikarz ten zupełnie dowolnie przeistaczał dziejowe wypadki, wplątując nawet w historję polską zdarzenia z dziejów starożytnych narodów, napiętnował go po prostu mianem „kłamcy“ i „oszusta.“ Być może, że Gutschmid w ogóle za bezwzględnie osądził Kadłubka, zwłaszcza, iż Zeissbergowi[10]) udało się złagodzić niektóre jego zarzuty, jednakowoż każdy nieuprzedzony przyznać musi, że chcąc bezstronnie zbadać prawdziwą wartość podawanych przez Kadłubka wiadomości, tylko drogą wytkniętą przez Gutschmida t. j. drogą filologicznéj krytyki do celu dojść można, pomimo to, iż tak niezmordowany pracownik w dziedzinie dziejów naszych jak Bielowski, nawet w najnowszéj swéj pracy[11]) nietylko badaniom Gutschmida żadnéj nie przyznaje wartości, lecz nie waha się nawet niekorzystny sąd tego uczonego o naszym kronikarzu z rodowéj nienawiści wyprowadzać.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Caro, Gutschmid, Zeissberg dowiedli stanowczo, że zdanie Lelewela, jakoby autorem pierwszych trzech ksiąg kroniki Wincentego był Mateusz, było mylne.

[9]) „Ueber die Fragmente des Pompeius Trogus und die Glaubwürdigkeit ihrer Gewährsmänner.“ Jahrbücher für classische Philologie, herausg. v. A. Fleckeisen. II, Supl. Bd. Leipzig 1856—57. — por. Fr. Rühl, Die Verbreitung des Justinus im Mittelalter. Leipzig, 1871, str. 14 et seq.

[10]) Vincentius Kadłubek.

[11]) „Wyniki najnowszych badań o mistrzu Wincentym i jego kronice.“ Na Dziś. Pismo zbiorowe Kraków, 1872. T. 1, str. 242—288. — Rzecz dziwna, że autor w rozprawie téj o gruntownéj i bardzo cennéj pracy Zeissberga wcale nie wspomina.

PRZEGLĄD LITERACKI

Patrjarcha. Powieść przez Adama Bełcikowskiego. 2 tomy. Kraków, 1872, nakładem „Kraju.“

Treść najnowszéj pana Bełcikowskiego powieści w najgłówniejszych zarysach kilku przytoczymy słowami. — W domu hrabiego Ochockiego bawi krewna jego daleka, panna Wanda Nidecka, przedmiot miłości tak ojca, jak syna. Wanda żadnego nie kocha, jednego i drugiego łudzi obietnicą, nadzieją, zyskując czas do namysłu, kogo wreszcie ręką, jeżeli nie sercem zbogacić. Ważne względy przemawiają w końcu na korzyść młodego Henryka, — następuje więc ślub potajemny, gniew oszukanego starca, wydziedziczenie niewdzięcznego syna. — Część druga obejmuje dzieje poślubne młodéj pary. Pani Wanda zyskawszy nazwisko, nadzieję przynajmniéj wielkiego majątku i męża, — wygodną zasłonę — oddaje się namiętności zbytkownego, błyszczącego życia. Na zawołanie jéj przybywa kasztelanic, którego pani Wanda niegdyś w gorszych poznawszy czasach, na zawsze zachowała w wspomnieniu. Równocześnie toczy się proces przeciw staremu, złamanemu ojcu o wydanie części majątku. Walka z ojcem, zdrada względem męża tworzą oś dalszych wypadków. W końcu nadchodzi Nemezis powolna ale niezawodna. Mąż przekonawszy się o zdradzie odpycha wiarołomną żonę, kochanek porzuca ją nikczemnie; — pani Wanda pozostaje samotną, bezbronną i w przystępie rozpaczy, zazdrości własną ręką przecina nić życia. — Oto szkielet powieści. — Fabuła ta razi nas niekiedy jaskrawym, romantycznym kolorytem. Wydziedziczenie Henryka, najazd na zamek, porwanie hrabiego, które podług planu pani Wandy uprościć ma proces niepewny, samobójstwo bohaterki i wiele innych pomniejszych wypadków przypominają zbyt żywo szkołę romantyczną, do któréj nam wracać nie wolno. Autor nie może się pod tym względem powoływać na charakter epoki, na charakter miejsca, które tłem być mają powieści. Rzecz dzieje się wprawdzie na Podolu, w pierwszych latach naszego stulecia, ale autor tak mało stara się o zachowanie czasowych i miejscowych właściwości, tak wielkie popełnia anachronizmy, że czas i miejsce w powieści téj żadnego nie mają znaczenia. Autor mógł ją równie dobrze w najnowszych umieścić czasach, do każdéj innéj przesadzić miejscowości. Autora uniewinnia po części charakter utworu. Niejeden szczegół niejasny, nieprawdopodobny, byłby w oczach naszych niezwykłym wprawdzie, lecz zrozumiałym, prawdziwym, gdyby mu był autor realniejszy nadał charakter, łagodząc jaskrawość kolorytu szeregiem delikatnych, przejściowych cieniowań, rozbierając dokładniéj genezę skreślonych wypadków, motywując, rozdrabniając staranniéj. Nie było jednak zamiarem autora dać nam obrazek szkoły holenderskiéj, — autor maluje nam przeciwnie obraz niemałych rozmiarów, maluje go w grubych, ogólnych zarysach, rzuca farby, światło i cienie szerokiém pociągnięciem pędzla, nie myśląc bynajmniéj drobnostkowém zająć się wykończeniem. Dla tego części pojedyncze w niedość plastycznych występują kształtach, nie przemawiają do naszéj wyobraźni, zdają się pozbawione być prawdy. — Dla pana Bełcikowskiego jest treść zresztą rzeczą podrzędną, zajmuje go przeważnie studjum charakterów. Pod tym względem powieść jego niemałe posiada zalety, ale i wady niemałe. — Ze szczególném zamiłowaniem kreśli autor charakter bohaterki. Wanda jest kobiétą bez serca, obdarzona natomiast rozumem, ambicją, siłą woli i niebezpieczną pięknością. Chęć błyszczenia, rządzenia ludźmi jest sprężyną wszystkich jéj działań. Stary hrabia i syn jego Henryk proszą o jéj rękę, Wanda rozważa, oblicza, który z nich jéj samolubnym odpowiedziałby zamysłom. Hrabia zaślepiony i stary, Henryk młody wprawdzie, lecz słaby jak dziecko. Obrachunek ten trwa dosyć długo, — potrzeba tymczasem i ojca i syna rozkoszną łudzić nadzieją. Bohaterka z winy autora taktykę tę prowadzi niezręcznie, — posuwa się względem każdego do otwartych wyznań i przyrzeczeń, które wiążą jéj ręce na przyszłość. Mianowicie stosunek z Henrykiem odcina jéj możność odwrotu, — na szczęście obrachunek wypada na korzyść Henryka. Wanda zostaje hrabiną, ale wydziedziczony małżonek żadnego nie posiada majątku, a hrabina obyć się nie może bez licznego dworu pochlebców, chciałaby jak najprędzéj zabłysnąć na salonach Warszawy. Z bezwzględną więc energją rozpoczyna walkę z tak ciężko znieważonym ojcem — wytrwałą, bezlitośną sztuką zmusza słabego małżonka, który nie przestał kochać skrzywdzonego ojca i czuje całą ohydę téj walki. — Jest jednak człowiek, którego kobiéta z takim charakterem kocha i to miłością czysto idealną. Na pozór zdaje się to sprzeczne. Sprzeczność tę tłomaczy nam jasno geneza tego charakteru. Wanda została rychło sierotą, żadnego nie posiadając majątku. Przeszła więc do rzędu ubogich krewnych, opłacała chleb swój codzienny łzami i upokorzeniem. Wychowanie to oduczyło ją kochać, zgasiło w niéj serce, rozbudziło natomiast namiętność odwetu, głód rozkoszy,

żądzę panowania, wytrwałość, siłę i przebiegłość. W tych czasach ciężkiéj próby poznał ją kasztelanic, wielbiciel płci pięknéj i zajął się na chwilę piękną choć prostą dziewczyną. Kasztelanic był pierwszym człowiekiem, który dla niéj okazał współczucie, a nawet oślepił pozorem przynajmniéj miłości, — młody był przytém, przystojny, bogaty, — łatwo pojąć, jak silne uczynił wrażenie na téj duszy karmionéj poniżeniem. Kasztelanic stał się dla niéj ideałem. Wiadomo, jakiéj wagi są pierwsze wrażenia dla duszy kobiécéj, — niepospolity charakter bohaterki i pod tym względem okazał się wyższym nad poziom zwykłych charakterów. Wanda, dzięki ojcowskiéj opiece hrabiego, z pomiatanego kopciuszka została panią w domu bogatym i możnym, zaczerpnęła z nieznanego jéj dotychczas źródła nauki, poznała świat, do którego tak dawno dostać się pragnęła. Pomimo to, pierwsze silniejsze wrażenie niewzruszoném zostało w jéj duszy, ideał nie stracił pierwotnego blasku. Nawet powtórne zbliżenie do kasztelanica nie zdołało zatrzeć uroku, otworzyć jéj oczu na moralną nicość ideału, — i pod tym względem wytrwałą została, nieugiętą. — Charakter ten skreślony prawdziwie mistrzowsko, — tyle w nim prawdy i głębokiéj znajomości kobiécego serca. Kontrastem niejako jest Henryk, człowiek uczuciowy, pozbawiony energji i woli. Henryk czuje całą okropność następstw, w jakie go współzawodnictwo z ojcem zawikła, ale ani uczucia swojego przytłumić nie umie, ani stanowczego uczynić kroku. Do tajemnego ślubu przymusza go wola kochanki. Henryk poznaje za późno zimny, samolubny charakter Wandy, przeczuwa, że ktoś inny pozyskał jéj miłość, mimo to jedno jéj słowo, jedno przymilenie do najwstrętniejszych nakłania go postępków. — Z równą zręcznością kreśli autor postacie na drugim zostające planie, — Julję, siostrę Henryka, istotę z eteru, Zawiłę, pieczeniarza, posłuszne bohaterki narzędzie. — Wśród tych charakterów, w których głośno bije tętno życia, spotykamy z niemałém zdziwieniem postać ze świata fantastycznych marzeń, zda się z Utopji przybyłą. Postacią tą jest hrabia Ochocki, bohater powieści — patrjarcha. Hrabia jest w dosłownem znaczeniu patrjarchą; — urządził „państwo“ swoje Ostrowieckie na zasadach patrjarchalnych, jest ojcem swoich poddanych, sędzią i arcykapłanem. Widzimy go nasamprzód w roli arcykapłana przy obchodzie „święta żniw.“ W długiéj aksamitnéj todze prawi zgromadzonemu ludowi kazanie w wiejskim kościołku, poświęca plony i pługi, prowadzi modlitwy i śpiewy, — widzimy go daléj jako ojca rodziny siedzącego z ludem swoim przy uroczystéj biesiadzie, widzimy go wreszcie królem i sędzią, kiedy na tronowém stojąc wyniesieniu, w wielkiéj sali zamku, otoczony senatem z najstarszych złożonym poddanych, niewdzięcznego syna strasznym potępia wyrokiem. Dodajmy do tego, że tenże patrjarcha nocami na dachu zamczyska astronomicznym oddaje się obserwacjom, że zamek jego fantastycznéj budowy posiada tajemne schody i podziemia, że przeszłość jego pełna zbrodni tajemniczych, — a czytelnicy z łatwością odtworzą sobie w wyobraźni tę postać dziwaczną, bezcielesną, w któréj nie ma śladu życia i prawdy. Hrabia jest bohaterem powieści, pozostaje z resztą skreślonych przez nas postaci w ciągłéj bezpośredniéj styczności, fantastyczne jego otoczenie jest niejako tłem wszystkich prawie wypadkow, — powstaje ztąd niesmaczna mięszanina świata czystéj tylko wyobraźni ze światem rzeczywistości. Pomięszanie to jest głównym błędem powieści, a błąd ten tak jest rażącym, tak znacznie zniża wartość powieści, że dobre strony utworu pozostają w cieniu niejako, zakryte dla mniéj bacznego oka. Drugim błędem jest luźnie przyczepiona tendencja. Autor chciał nam w postaci księdza wikarego przedstawić rodzaj tych ludzi, którzy religię uważają za narzędzie do dopięcia celów nikczemnych, za płaszczyk własnych występków. Autor dla tendencji poświęcił wymagania sztuki, popadł w namiętną przesadę, — wikary wyszedł tak czarnym z pod pędzla, że na nim jasnego punktu dopatrzeć się niepodobna. Prócz tego postać ta jest anachronizmem, — tendencje, które w nowszych zrodziły się czasach, przenosi autor na początki tego stulecia, w miejscowość całkiem niestosowną.

Poczucie słuszności każe nam w końcu dodać, że w osobie p. Bełcikowskiego posiada literatura nasza równie utalentowanego jak sumiennego pisarza, niezrównanéj pracowitości myśliciela i badacza, którego rozprawy naukowe, publiczne wykłady i utwory belletrystyczne coraz to ogólniejszą zwracają na siebie uwagę. Głębokie przejęcie się traktowanym przedmiotem i staranne wykończenje każdéj pracy, jest wybitną cechą p. B., którą rzadko który z współczesnych pisarzy pochlubić się może.

J. M.

TEATR.

O ile środki pozwoliły, uczciła także i dyrekcja naszego teatru dzień Kopernikowy świąteczném przedstawieniem. Obszerna i dobrze napełniona sala teatru Hildebranda została przystrojoną w kwiaty i girlandy, a uwieńczony biust Jubilata prezydował w głębi sali.

Obraz z żywych osób stosownie ucharakteryzowanych, przedstawiający plejadę genjuszów i drugi odnowienie akademji krakowskiéj, były nader szczęśliwie pomyślane i ułożone, duet na sopran i tenor wykonany bardzo pięknie przez p. Macharzyńską i Koziołowskiego zasłużył również na pochlebną wzmiankę, czego jednak bynajmniéj powiedzieć nie możemy o zadziwiająco nudnéj i wielce monotonnéj deklamacji dramatycznéj „Ostatnie chwile Kopernika“ pióra Wacława Szymanowskiego.

Następny wieczór przyniósł nam tragedję Schillera „Zbójcy“, na dochód pana Bendy i panny Żeromskiéj. Znana do przesytu sztuka i wcale nieosobliwa gra naszych artystów upoważniają nas do przejścia po nad tém przedstawieniem do następnego benefisowego wieczoru p. Artura Molskiego, który wybrał sobie dramat Leopolda hr. Starzeńskiego p. t. „Banita, czyli Samuel Zborowski.“ Autor znany już z wielu innych scenicznych średnio-udatnych utworów, zamierzył napisać dramat historyczny, co mu się téż o mało co nie udało. Intuicja była szczęśliwa, lecz zdaje się nam, że autor niezupełnie jeszcze zrozumiał różnicę dramatu historycznego od zwykłego dramatu i dla tego nie wywiązał się z zadania swego w zupełności. Porozumiejmy się. Historyczne postacie i fakta nie stanowią jeszcze dramatu historycznego, jeżeli motywa jego rozwoju zasadzają się na indywidualnych dążnościach lub namiętnościach. Cechą dramatu historycznego nietyle nawet jest ścisłość pojedynczych faktów spełnionych, ale „umotywowanie rozwoju i akcji na podstawie walczących z sobą o lepsze zasad społecznych lub politycznych.“ W dramacie historycznym indywidualne namiętności schodzą na dalszy plan, naczelne zaś miejsce zajmują namiętności historycznych stronnictw, walczących w imię zasad.

Niekażda jednak walka stronnictw może być zużytą do dramatu historycznego i tak n. p. spory Mon-

techich i Capuletów toczące się o sprawy i prepondenrancję domów prywatnych nie są bynajmniéj takim materjałem, a „Romeo i Julietta“ Shakespera nie jest dramatem historycznym; natomiast jest nim „Coriolan“ tegoż autora, tam bowiem przeprowadza się walka patrycjuszów z plebsem, a więc stronnictw politycznych, tam bowiem motorem górującym są namiętności polityczne i społeczne. Dramat historyczny tak dalece zasadza się na kierujących jego przebiegiem motywach, że czerpiąc nawet materjał z walki stronnictw politycznych a motywując akcję indywidualnemi namiętnościami tworzy się dramat zwykły. Za przykład postawić możemy tragedję Mosenthala „Pietrę“ graną tu przed niedawnym czasem. Stronnictwa Gwelfów i Ghibelinów są tam tylko tłem, na którym obrazują się dramatyczne dzieje miłości Pietry i Manfreda i dla tego dramat ten historycznym nazwanym być nie może.

Podobnie ma się z dramatem, o którym mowa. Gdyby autor miłość Samuela i Gryzeldy zsunął był na plan drugi, na stanowisko pomocniczego motywu, a natomiast postawił na naczelném miejscu zapasy wielkiego kanclerza, tego wyobraziciela idei państwowéj, ze stronnictwem butnych możnowładców, wiodących kraj w przepaście anarchji, wówczas dramat jego byłby historyczny w całém znaczeniu tego pojęcia, nie jest zaś nim, ponieważ Samuel jest po prostu awanturniczym kochankiem, a wspaniała postać kanclerza Zamojskiego tonie w ścisłym urzędzie krakowskiego starosty.

Byłby to mały zarzut, bo dotyczący tylko tytułu: „dramat historyczny“ — niestety na tym jednym ograniczyć się nie możemy. Utworowi hr. Starzeńskiego zbywa przedewszystkiém na ożywieniu, na akcji — osoby przychodzą, deklamują, opowiadają co się dzieje za kulisami i odchodzą, żeby zrobić miejsce innym, które także deklamują i opowiadają i t. d. w kółko przez całych 6 obrazów — to istna tortura za pomocą ślamazarnéj gadaniny, na którą raz tylko złapać się można. Brak energji słowa i jędrności podaje w wątpliwość nawet literacką wartość dramatu, bo o wartości scenicznéj nie ma co mówić.

A jakie skombinowane motywa podaje tu i owdzie szanowny zresztą autor? Ten list n. p. Gryzeldy do Samuela i owo złapanie Zdory na muchę przez Winrycha, to rozmyślne rzucenie medaljonu przez Samuela, to pozbycie się par force dwóch wiernych rycerzy, ta przechadzka p. Wapowskiéj na pięć minut dla ułatwienia podpalenia domu, owo zjawienie się Zosi na zawołanie w odległym domu Włodkowéj, do którego przybywa sama jedna per pedes apostolorum itp. ciekawości, to same Filipy z Konopi vulgo deus ex machina, jak się to mówi przez grzeczność.

Wykonaniu tego dramatu należy się oddać zasłużone pochwały.

Beneficjant p. Molski oddał tytułową rolę z głębokiém przejęciem się, a co ważniejsza, w wysokim stopniu inteligentnie. Sądzimy przecież, że zewnętrzna charakterystyka hetmana Samuchy zyskałaby tylko na poważniejszym kolorycie i na większéj oszczędności gestykulacji, do któréj p. M. już się był zaczął przyzwyczajać.

Z niezrównaną godnością i artystycznym wykonaniem przeprowadzili swoje role pp. Grabiński (Zamojski) i Nowakowska (Gryzelda) ta ostatnia mianowicie posiada dziwny dar nadawania grze muskułów twarzy, tego majestatu powagi i istotnéj godności, który podziwialiśmy już w takich rolach jak margr. de Monpas, Amelja w Mazepie, Pietra, a ostatnim razem Gryzelda.

Nie możemy już przechodzić obszernie kilku innych ról, które jak np. Wapowska (p. Grabińska), Mroczek (p. Moszyński) i Zdora (p. Benda) zalecały się wzorową poprawnością.

Do uświetnienia wieczoru przyczynił się piękny śpiew panny Macharzyńskiéj w akcie drugim i ślicznie instrumentowane przygrywki lwowskiego kompozytora p. I. F. Guniewicza, które jednak orkiestra nasza wykonywała, jak niestety zwykle, niżéj krytyki.

* * *

Jakiś anemiczno - wodnisty korespondent poznański do „Kłosów“ rozpisał się między wielu staremi nowinami także i o naszym teatrze. Sąd jego, zdradzający zupełną nieznajomość rzeczy, wart tyle co nasza teatralna kapela — nie wdajemy się nigdy ze ślepym w spory o kolorach, sądzimy jednak że byłoby wcale na miejscu, aby łaskawi korespondenci z urzędu, raczyli wybierać do zapełniania zostającego miejsca jakie przystępniejsze dla siebie przedmioty, n. p. opis albinosów, którzy produkują się właśnie na Wilhelmowskim placu.

Program zjazdu sławiańskich pedagogów.

W zeszycie piątym pragskiego pisma „Slovansky Pedagog“ znajdujemy odezwę pod powyższym tytułem, którą, czyniąc zadość życzeniu redakcji, podajemy tu w wiernym przekładzie. Redakcja „Pedagoga“ wzywa wszystkie pisma sławiańskie o powtórzenie téj odezwy w swoich narzeczach, sądzimy zatém, że i inne polskie pisma pójdą za naszym przykładem.

* * *

Żywa a zgodna działalność, jaka w nowszych czasach objawia się na polu pedagogiczném u wszystkich światłych narodów, obudziła i w niektórych pedagogach sławiańskich myśl, aby i pomiędzy nimi nastąpiło pewne porozumienie.

Myśl tę wypowiedziano na zgromadzeniu nauczycieli w Zagrzebiu w 1871 r., postanowienie zaś i urządzenie ogólnego zjazdu pozostawiono ogólnemu zebraniu nauczycieli w Lublanie, które odbyło się w końcu zeszłego roku.

Po wspólnéj naradzie postanowiono co następuje:

1. Wielostronne potrzeby dzisiejszego narodowego wychowania i przeświadczenie, że nauczycielstwo któregokolwiek sławiańskiego narodu samo przez się olbrzymiemu zadaniu sprostać nie zdoła, wykazuje jasno potrzebę zjednoczenia działalności wszystkich sławiańskich plemion na polu oświaty dla przyspieszenia jéj rozwoju.

2. Organem jednoczącym wszystkie sławiańskie plemiona mają być zjazdy sławiańskich pedagogów, zwoływane co lat trzy w czasie i miejscu, które wydział postanowi.

3. Zjazdy sławiańskich pedagogów mają torować i wskazywać drogę ku wspólnemu a zgodnemu dziełu na polu powszechnego szkólnictwa u Sławian; mają rządzić i prowadzić je ku jednemu i temuż samemu celowi: ku właściwéj sławiańskiéj narodowéj oświacie i wykształceniu w zgodzie z postępowemi zasadami pedagogicznemi innych światłych narodów.

4. Zjazd sławiańskich pedagogów składać się będzie:

a) z pojedynczych zasłużonych sławiańskich pedagogów i przyjaciół zjazdów pedagogicznych, tak mężczyzn jak kobiét, które wydział zaprosi.

b) z wysłańców rozlicznych pedagogicznych i nauczycielskich towarzystw, a to po dwóch z każdego.

Zaproszeni i od towarzystw wysłani pedagogowie

wykazać się muszą listami wstępu, wydanemi przez wydział.

5. Pytania, o których się na zjeździe rokować ma, jako i wnioski, które na zjeździe do postanowienia przyjść mają, musi wydział główny przesłać pojedynczym sekcjom najmniéj na pół roku przed zjazdem.

6. Zjazd sławiańskich pedagogów będzie miał pełne posiedzenia, jako i sekcyjne, według pojedynczych, na zjeździe przedstawianych plemion sławiańskich. O każdém pytaniu, zanim przejdzie do pełnego posiedzenia, będzie się rokowało na posiedzeniach wydziału.

7. Zjazd zagaja przewodniczący Głównego Wydziału, poczém posiedzenie się ustala, obiera przewodniczącego jako i innych przodowników a potém dzieli się na sekcje stósownie do plemienia.

8. Przed zamknięciem posiedzeń obierze się stały wydział dla zjazdu, który poczynione postanowienia wykona, oraz w ich duchu pracować będzie aż do zjazdu następnego.

9. Do stałego wydziału dla zjazdu obierze się po pięciu członków z każdego na zjeździe przedstawionego plemienia, a przy oborze pojedynczych członków będzie się miało wzgląd, ażeby najmniéj trzech z każdego plemienia zamieszkiwało w środkowym punkcie duchowego działania, w stołecznėm mieście swéj prowincji.

10. Stały wydział zjazdu obierze sobie z własnego grona przewodniczącego i jego namiestnika i rozdzieli się na tyle sekcji, ile w nim będzie przedstawionych plemion. Sekcje obiorą również swych starostów i to z tychże trzech jednego, któryby w stolicy zamieszkiwał.

Wybrani do wydziału i sekcji zachowują swoją godność do przyszłego zjazdu. Gdyby zaś który członek wydziału umarł lub wystąpił, uzupełni się dotycząca sekcja do przyszłego zjazdu tém, że powoła ze swego grona któregokolwiek stosownego i zasłużonego padagoga.

11. Stały wydział zjazdu, za którego głowę uważać się będzie ta sekcja, w któréj się znajduje przewodniczący całego wydziału, będzie pozostawał w trwałym piśmiennym stosunku ze wszystkiemi swemi sekcjami i zgromadzać się będzie wedle możności każdego roku przynajmniéj raz, w mieście ku temu najdogodniejszém.

12. Pierwszy zjazd sławiańskich pegagogów odbędzie się we Wiedniu w 1873 r. w czasie szkólnych wakacji.

13. Pierwszy zjazd sławiańskich pedagogów ostatecznie albo uchwali, albo przemieni niniejsze ustawy, które są tymczasowe i tylko dla pierwszego zjazdu ważne.

Następstwa tego to pierwszego zjazdu będą zaiste miały wielką doniosłość, gdyż uda się li dobrze — to będzie nim bez wszelkiéj wątpliwości silnie podparty i urychlony rozwój sławiańskiego szkólnictwa; w przeciwnym razie byłby to dowód nieusposobienia do społecznéj pracy na polu oświaty i ukształcenia jeżeli nie sławiańskich narodów, tedy zaiste sławiańskiego nauczycielstwa; przeto świętą jest powinnością, ażeby Wydział w pracy téj z największą działał roztropnością i raczéj niczego się nie podejmował, niż obarczał się ciężką odpowiedzialnością za opaczne prowadzenie lub nieudanie się ważnego przedsięwzięcia.

Wzywamy przeto niniejszém wszystkich sławiańskich pedagogów, wszystkie sławiańskie pedagogiczne towarzystwa, aby o zamierzoném arcyważném przedsięwzięciu wydali swe zdanie, znosząc się z nami albo za pośrednictwem redakcji „Slovansky Pedagog v Praze na Smichově Nr. 339“, albo przez „Jana Filipovic, uciteli v Zahrebu“, albo przez Andrija Praprotnika, ridicimu uciteli v Lublani.“

Jeżeli mniemania okażą się przyjazne, to Wydział nie będzie się wahać i uczyni bez odwłoki wszystkie ku temu potrzebne kroki przedwstępne, o czém podamy w swym czasie szczegółowe sprawozdanie.

W Lublanie 25 października 1872.

Tymczasowy wydział dla zjazdu sławiańskich pedagogów:

Jan Filipovic, nauczyciel w Zagrzebiu, Piotr Tomic, profesor wyższy szkoły realnéj w Rakowcu, Leszek Fabkovic, nauczyciel przygotowawczy w Zagrzebiu, Ludwik Modec, nauczyciel w Zagrzebiu, Janko Tomic, nauczyciel w Karłowcu, Wawrzyk Bassaricek, nauczyciel we Virovitycy; Józef Glaser, nauczyciel w Petrini; Jędrzéj Praprotnik, ordynarjusz w Lublanie; Jan Tomsic, nauczyciel w Lublanie; Jan Lampajne, nauczyciel wyższy w Lutomierzu; Szczęsny Steynar, nauczyciel i nadzornik w Idrji: Sebald Cihlar, nauczyciel w Kraljewicy; Milan G. Milicevic, urzędnik szkoły w Biełogradzie; Milorad Popovic, księgarz w Bielogradzie; Mikołaj Vukucevic, nauczyciel przygotowujący do seminarjum nauczycielskiego w Samborzu; Wawrzyn Backora, ordynarjusz w Pradze; Wacław Kredba, redaktor „Posła z Budcza“; Jan Maszek, redaktor „Sławiańskiego Pedagoga“; J. Kral, nauczyciel w Pradze; J. K. Skoda, profesor w Pradze; Józef Svestka, ordynarjusz w Karlinie; Marcin Weinfurt, nauczyciel w Pradze.

Porządek rokowania pierwszego zjazdu sławiańskich pedagogów:

1. W jakim stosunku ma zostawać zjazd sławiańskich pedagogów do powszechnych nauczycielskich zjazdów pojedynczych sławiańskich plemion?

2. Jak, gdzie i z czego zakładaćby się miały sławiańskie pedagogiczne księgozbiory?

3. Jakby się tegoczesnym sławiańskim środkom uczebnym utorowała droga do szkół i które nowe sposoby uczebne mogłyby się wydawać i jakby ich wydawnictwo urządzić, ażeby wystarczyły potrzebom szkół sławiańskich?

4. Czyli jest możliwe wydawać dobre książki dla młodzieży we wszystkich językach sławiańskich, ażeby się nimi rozbudziła i pielęgnowała sławiańska wzajemność?

5. Jest-li potrzeba właściwego czasopisma, któreby broniło zasady i kierunku zjazdu sławiańskich pedagogów, a jeżeli tak jest, jakby one wydawać?

6. Zjazd głosować będzie nad ogłoszeniem następującéj rezolucji: „Zjazd sławiańskich pedagogów oświadcza w imieniu sławiańskiego nauczycielstwa, iż wita z radością i uznaje wszelkie postępy wiedzy i doświadczenia na polu pedagogicznėm, że gotów jest pracować wspólnie z nauczycielstwem wszystkich światłych narodów, które uznają Sławian za równouprawnione czynniki na polu oświaty i wykształcenia.

Podając chętnie powyższy program, prosimy redakcję „Pedagoga“ o łaskawe objaśnienie nas jak stoi w obecnéj chwili sprawa tego ważnego i żywotnego przedsięwzięcia, któremu z naszéj strony zasyłamy braterskie „Szczęść Boże.“

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— Wiadomo już od dawna, że dotychczasowy teatr miejski w Poznaniu będzie na wiosnę zburzony a rozpocznie się budowa nowego gmachu. Wiadomo również było, że JCM. cesarz i król ofiarował na ten cel 40 tysięcy talarów, z których połowa a fonds perdu, druga zaś na 3% ze spłatami amortyzacyjnemi — obecnie dowiadujemy się z „Ostdeutsche Ztg", że dar ten wpłynie do kasy miejskiéj tylko pod warunkiem, że towarzystwo polskie nie będzie mogło grywać w nowym gmachu, jak tylko za specjalnym każdorazowym pozwoleniem królewskiéj rejencji.

Może wiadomość ta przyczyni się do wydobycia iskry energji z komitetu budowy polskiego teatru — może, a to czas, wiosna się zbliża a więc i termin zrealizowania obietnicy.

* * *

— **Władysław hr. Plater** i **E. Landolt**, wice-dyrektor szkoły politechnicznéj w Zürich ogłaszają sprawozdanie „Komisji pomocy naukowéj" dla uczącéj się młodzieży polskiéj w Szwajcarji. Bilans z r. 1872 wykazuje 2,767 franków dochodu, a 1305 fr. rozchodu — pozostałość w kasie wynosi zatém 1,462 franki.

Nie wiemy istotnie co podziwiać, czy dochód czy remanent — może nam kto wytłomaczy tę osobliwość, że przy tak maluczkiéj sumie dochodu, większa połowa zostaje remanentem. Szanujemy oszczędność w gospodarstwie finansowém, ale ta o któréj mowa zdaje się dowodzić wysokiego stopnia zamożności uczących się w Szwajcarji Polaków — pomoc naukowa spotrzebowała przez rok niezmierną sumę 1245 franków (60 fr. bowiem wyniosły koszta biurowe) — winszujemy.

Sprawozdanie mówi o wielu meldujących się którym odmówiono wsparcia z powodu niedostatecznych funduszów — a te 1,462 fr. remanentu?

* * *

— Na odczyt pana **Ochorowicza**, który się odbył w Warszawie w teatrze Rappo dnia 16 b. m., zebrała się tak wielka liczba słuchaczy, że teatr był natłoczony od góry do dołu, a połowa ciekawych nie docisnąwszy się, odeszła zawiedziona. Nawet na bilety wejścia rozwinęła się spekulacja i odprzedawano je po potrójnéj cenie. Fakt taki w sprawie prelekcji jest znaczącym przełomem i zwrotem ku lepszemu. Prelegent mówił o tworzeniu się ziemi i co na niéj było przed tysiącami lat, a to w tak popularny sposób, że wszystkich słuchaczów zadowolnił i mniéj i więcéj inteligentnych, jakkolwiek rzecz to niełatwa mówić prostemi słowy o najważniejszych zdobyczach wiedzy. — Natomiast hucznym zabawom mniéj się powodzi tego roku w Warszawie. I tak dawana w tym samym dniu piąta i ostatnia maskarada wcale się nie udała. Kilkadziesiąt masek, paruset spektatorów, oto wszystko. To téż dowcip zamierał prawie na ustach... nie objawił się wcale.

U nas w Poznaniu inaczéj, inaczéj, inaczéj!!!

* * *

— Dochodzi nas wiadomość, którą tém chętniéj dzielimy się z czytelnikami naszymi, że sprawi im ona niezawodnie przyjemność. Pan **Aleksander Chodecki**, którego imie dziś już jest znaném ogólnie, po długiéj wędrówce w Królestwie, Galicji, Bukowinie temi dniami przybywa z Wiednia, gdzie się dał słyszeć w kole bawiących tamże Polaków, do naszego miasta. Ma on zamiar wystąpić publicznie. Uznanie, jakie p. Chodecki zyskał sobie wszędzie, sam wreszcie rodzaj jego talentu, jednoczącego muzykę z poezją, zgromadzi niezawodnie naszą publiczność, dającą się zawsze pociągnąć wszystkiemu, co piękne. A piękną istotnie jest deklamacja p. Chodeckiego, którą mieliśmy sposobność podziwiana przed rokiem przeszło we Lwowie. Wśród wielu utworów naszych wieszczów, które słyszeliśmy na owym koncercie, wygłosił p. Chodecki „Czarny Szal" Kornela Ujejskiego. Poeta sam obecnym był téj deklamacji i sam wyznać musiał, że lepiéj trudno było odtworzyć tę jedną z najpiękniejszych jego poezji. Niech więc to słowo uznania, niech to uniesienie naszego wieszcza stanie p. Chodeckiemu za najszumniejszą pochwałę.

†
Antoni Czajkowski,
poeta i profesor prawa polskiego przy wszechn. petersburgskiéj
dnia 9 stycznia.

Bibljografja
dotycząca
Kościuszki Tadeusza
i czasów jego*).

— **Aleksandra I**, cesarza rosyjskiego, list do Kościuszki z dnia 3 maja 1814 r.

— **Angeberg, le comte de**, „Recueil des Traités, Conventions et Actes diplomatiques concernant la Pologne 1762—1862. Paris, 1862; — Bibliothèque des Archives diplomatiques. 1862. Paris.

— „**Annual Register**", year 1779. 1794.

— **Anthing Friedrich**: „Versuch einer Kriegsgeschichte des Grafen Alex. Suwarow Rymnikski." Tom III, rozdział 3—8. Gotha, 1799.

— **Archenholz, J. W. v.** „Minerva." Rocznik 1792. Tom II, wydawany w Berlinie.

— „**Archiwum Wróblewieckie**", obacz Wspomnienia damy polskiéj.

— **Beauchamp Alfons** ob. Denkwürdigkeiten.

— „**Beitrag** zur Geschichte der polnischen Revolution." Aus einem polnischen Manuscript. 1796. Frankfurt u. Leipzig.

— **Berghaus.** „Hertha" Tom IX, str. 52.

— „**Bericht** eines Augenzeugen über die Schlacht bei Maciejowice am 10 Oktober 1794", zamieszczony w „Militair Wochenblatt." Rocznik XIV, r. 1829.

— „**Berlinische Nachrichten** von Staats und gelehrten Sachen." Nr. 127 i 142, r. 1794.

— „**Biographie** des contemporains." Vol. X. Paris.

*) Powtarzajac zamieszczoną w przeszłym numerze prośbę, wzywamy wszystkich Uprawiaczy Dziejów ojczystych i Lubowników Rzeczy polskich o łaskawe skompletowanie niniejszéj Bibljografji, przesyłając nam odnośne w téj mierze wskazówki, które z prawdziwą przyjemnością w piśmie naszém zamieścimy.

— **„Biographie Etrangère"**, ou Galerie Universelle, hist. civ. milit. polit. et littéraire. Paris, 1819.

— **Bolesławity B.** „Bezimienna", powieść z końca XVIII w. zamieszczona w „Strzesze." 1868.

— **Bonawentury z Kochanowa** „Wincenty Wilczek i pięciu jego synów." Wspomnienia z drugiéj połowy XVIII i początku XIX stulecia. 1859. Poznań, J. K. Żupański.

— **Bonstetten K. W.** w Liście 159 d. d. Genewa dnia 22 lipca 1817, Tom II, str. 135, pisanym do Fryderyki Brun, wspomina, że Kościuszko skoro przybędzie do Genewy, zamierza z nim się zapoznać.

— **Bornschein.** „Geschichte von Polen." Leipzig, 1808.

— **Botta, Charles.** „Histoire de la guerre et de la Révolution américaine." Tom I—IV. Paris, 1826. — „Histoire de la Guerre de l'indépendance des Etats-Unis d'Amérique", traduite de l'italien, et précédée d'une introd. par L. de Sevelinges. 1812, Paris, J. G. Dentu.

— **Brougham, Lord.** „Polen", w języku niemieckim, wyd. r. 1831 w Brukseli.

— **Chézy Helmina.** Ustęp z jéj pamietników, zamieszczony w „Stuletniéj Rocznicy Rok I", wyd. Tygodn. Wielkopolskiego.

— **Chodkiewicza Aleks.** hr. „Portrety wsławionych Polaków, rysowane na kamieniu przez Wal. Śliwickiego z opisem ich życia." 1820. Warszawa.

— **Chodźki Leonarda.** „Histoire des légions polonaises en Italie sous le commandement du général Dombrowski. 1829, Paris; — „Biographie du général Kościuszko." 1837. Fontainebleau ; — „Coup d'oeil hist. et milit. sur la guerre actuelle entre la Russie et la Pologne." — i „Mniemane Kościuszkowe Finis Poloniae" — w Dzienniku Poznańskim Nr. 220. Rok 1860.

— **Cieszkowski,** ob. Kraszewski.

— **Czartoryskiego** „Korespondencje w czasie kongresu wiedeńskiego."

— **„Czas"**, przytaczany przez gen. Paszkowskiego i Franciszka Rychlickiego.

— **„Denkwürdigkeiten** aus den Papieren eines vornehmen Staatsbeamten über die geheimen Ursachen, welche die Politik der Cabinette im Revolutionskriege von 1792—1815 bestimmten." Aus dem französischen übertr. u. mit Anmerkungen versehen von F. A. Rüder. 1828, Leipzig. — Francuzki tytuł tego dzieła, które przypisują jedni księciu kanclerzowi von Hardenberg, drudzy Alfonsowi de Beauchamp, rozpoczyna się od słów „Mémoires d'un homme d'Etat......

— **„Der polnische** Insurrektionskrieg im Jahre 1794." Nebst einigen freimüthigen Nachrichten und Bemerkungen über die letzte Theilung von Polen, von einem Augenzeugen. 1797. Berlin.

— **Die pohlnischen** Confœderirten in Curland." Ein kleiner Beytrag zu der Geschichte unsers Jahrzehnds. von — g — 1795. Aitona.

— **„Dzień 17 i 18 Kwietnia** 1794 w Warszawie" przez naocznego świadka. 1860, Poznań, u J. K. Żupańskiego w „Pamiętnikach z XVIII w."

— **Drzewieckiego Józefa** „Pamiętniki."

— **Falkenstein Karl.** Thaddaeus Kościuszko, nach seinem öffentlichen und häuslichen Leben geschildert." 1827 i 1834. Leipzig. F. A. Brockhaus. II wydanie; — w przekładzie polskim wyszło r. 1830 w Radomiu, r. 1851 we Wrocławiu; przekład francuzki Karola Forstera wyszedł r. 1839 w Paryżu. — O przekładzie polskim z r. 1827 wspomina Marylski Eustachy w swoich „Wspomnieniach zgonu zasłużonych w narodzie Polaków" na str. 221.

— **Favrat Fr. Andr.** „Beyträge zur Geschichte der polnischen Feldzüge von 1794—6. Als Antwort auf die von dem General-Lieutenant Gr. v. Schwerin ihm gem. öffentl. Beschuldigungen. Aus dem franz. Manuskript des Herrn Verf. übers. Mit einer Charte. 1799. Berlin.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.